

Prolog

Tego dnia umarliśmy oboje, ale to twoje serce przestało bić jako pierwsze. Twoje... i naszego synka, który dopiero miał zacząć swoje życie.

Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. W mojej głowie wciąż rozbrzmiewał twój śmiech, ten miękki, melodyjny dźwięk, który zawsze niósł w sobie coś więcej niż radość. Był obietnicą. Pamiętam, jak mówiłaś o kolorze ścian w pokoju dziecka, pytając cicho: „Miętowy czy błękitny?”, z tym uśmiechem w kącikach ust, jakbyś znała już odpowiedź, ale chciałaś ją usłyszeć ode mnie. Odpowiedziałem, że błękitny – ale tylko jeśli ty wybierzesz miętowy. Zaśmiałaś się wtedy, jak tylko ty potrafiłaś, a ja wiedziałem, że nawet w najdrobniejszych sprawach twoja decyzja będzie najlepsza. Dla nas. Dla naszego dziecka.

Naszego syna.

Wracaliśmy wtedy od lekarza. Potwierdził to, co przeczuwałaś od początku – że będziemy mieli chłopca. Było późno, a ulice opustoszały. Miałem wrażenie, że świat zrobił nam miejsce na świętowanie. Radio grało cicho melodię, której dźwięki do dziś mam pod skórą. Wszystko było spokojne, niemal sennie zwyczajne. Jedną rękę trzymałem na kierownicy, a drugą wyciągnąłem do ciebie. Ścisnęłaś moje palce, jakbyś chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowałaś w ostatniej chwili. Jestem niemal pewien, że chciałaś kolejny raz powiedzieć, jak bardzo mnie kochasz. Robiłaś to przecież codziennie, bez słów – w spojrzeniach, w dotyku, w ciepłych pocałunkach o poranku i w tych drobnych gestach, które zostają w pamięci na zawsze. A jednak teraz, z perspektywy czasu, czuję, że było ich o tysiąc za mało.

I właśnie wtedy wszystko zgasło.

Najpierw był błysk – oślepiający i brutalny – a potem krzyk, zgrzyt metalu i huk, który wyrwał mnie z naszej zwyczajności. Samochód obrócił się w powietrzu jak bezwładna zabawka, pasy bezpieczeństwa zacisnęły się na moim ciele, a szkło eksplodowało wokół nas jak deszcz gwiazd. Cisza, która potem zapadła, była najgłośniejsza. Ten nieludzki moment zawieszenia, gdy nie wiadomo, czy jeszcze się żyje, czy już umarło.

Nie mogłem się ruszyć. Moje ciało było ciężkie, obce, jakby należało do kogoś innego. Każda próba zaczerpnięcia powietrza kończyła się bólem przeszywającym żebra. Czułem, jak coś ciepłego spływa mi po skroni, ale nie potrafiłem rozpoznać, czy to krew czy łzy. Powietrze pachniało spaloną gumą, benzyną... i czymś jeszcze. Czymś, co natychmiast budziło we mnie pierwotny strach, ostry jak nóż.

Wtedy usłyszałem twój oddech. Cichy, urwany, tak słaby, że mógł zniknąć w każdej chwili.

– Isabelle? – wychrypiałem. Ale nie odpowiedziałaś.

Chciałem do ciebie sięgnąć, dotknąć cię, upewnić się, że jeszcze jesteś, ale moje ręce nie słuchały. Próbowałem otworzyć oczy, ale wszystko, co widziałem, to rozmazana plama światła i cieni. Szukałem cię, choć wiedziałem, że cię nie znajdę.

– Jestem tutaj – wyszeptałem, choć sam nie wiem, czy chciałem przekonać ciebie, czy siebie. – Wyciągnę cię stąd.

Potem przyszły głosy. Głośnie, obce, krzyczące coś niezrozumiałego. Syreny przecięły noc jak ostrze. Ktoś próbował mnie unieruchomić, ktoś inny wzywał wsparcie. Chciałem krzyknąć, żeby zajęli się tobą, żeby sprawdzili, czy nasz syn... Ale nie mogłem wydobyć z siebie głosu. I wtedy ciemność pochłonęła mnie całkowicie.

Z czasem świat zniknął.

Nie wiedziałem, czy minęły minuty czy miesiące, kiedy znów otworzyłem oczy – a może tylko miałem takie wrażenie

– i uświadomiłem sobie, że nic nie widzę. Wokół mnie był tylko dźwięk. Oddechy. Pikanie urządzeń. Zapach środków dezynfekujących. Światło istniało tylko w domyśle.

A potem znów zapadłem w sen.

Kiedy ponownie się przebudziłem – jeśli to w ogóle można było nazwać przebudzeniem – wszystko było inne. Próbowałem poruszyć ręką, ale ból był natychmiastowy, głęboki, bezlitosny. Skóra wydawała się zbyt wrażliwa, a ciało obce. Mój oddech był nierówny, płytki. Czułem, jak panika ściska mi gardło.

– Isabelle – wyszeptałem drżącym głosem.

I wtedy poczułem czyjś dotyk. Ciepły. Uważny. Możliwe, że kobiecy.

– Panie Laurent... – odezwał się głos, który nie należał do ciebie. Był łagodny, profesjonalny, a jednak miał w sobie coś ostrożnego. – Wszystko w porządku. Proszę się nie bać.

Ale ja się bałem. Tak bardzo, że nie potrafiłem oddychać.

– Proszę przyprowadzić moją żonę – powiedziałem, z trudem formując słowa, które chwilę później zabrzmiały mi w głowie jak obcy język.

Zapadła cisza. Taka, której się nie zapomina. A potem usłyszałem to zdanie – to jedno, którego nigdy nie powinienem był usłyszeć.

– Pańska żona i syn nie przeżyli wypadku.

I wtedy umarłem naprawdę.

Rozdział 1

Pięć lat później

Słońce leniwie muska moją twarz promieniami, rozlewając po skórze przyjemny, niemal kojący żar. Delikatne ciepło oplata moje policzki, czubek nosa i łagodnie spływa na czoło, otulając mnie niczym aksamitna pościwa. Przymykam powieki, pozwalając światłu prześwitywać przez cieką skórę, rysując pod nimi świetliste obrazy w odcieniach złota i bursztynu. Powoli odchylam głowę do tyłu, czując, jak napięcie ulatuje z moich mięśni wraz z głębokim wydechem. Powietrze, nagrzane i lekkie, opuszcza moje płuca, a ja na krótką chwilę zanurzam się w tej błogiej chwili ciszy i ciepła.

Przesuwam dłonią po zimnym kamieniu. Marmur jest gładki, bez skazy. Kiedyś dbałbym o to, by był perfekcyjny. Teraz nie ma to znaczenia. Gładzę litery, choć nie muszę ich widzieć, by znać ich kształt. Są wyryte nie tylko w kamieniu, ale i we mnie, wypalone w pamięci, której nie potrafię uciszyć.

Isabelle Laurent: córka, żona, matka

Philippe Laurent: syn

Nasz syn, który nigdy nie miał okazji zaczerpnąć powietrza.

Każde z tych określeń niesie ciężar, którego nie sposób unieść. Każda litera przypomina mi, kim byłem i co straciłem. Marmur jest zimny, ale nie tak zimny jak pustka, która po nich została.

– Pięć lat – mówię cicho, a moje słowa nikną w szepcie wiatru.
– Powinienem się już przyzwyczaić, prawda?

Oczywiście, że nikt nie odpowiada. Tylko wiatr przemyka pomiędzy nagrobkami, poruszając liśćmi, niosąc w powietrzu zapach wilgotnej ziemi i chłodnej marmurowej ciszy. Gdzieś

w pobliżu rośnie lawenda. Zamykam oczy, a jej delikatny aromat przywołuje wspomnienie Isabelle, która uwielbiała lawendę. Wystarczyłoby jedno jej spojrzenie, jedno słowo, a potrafiłaby rozjaśnić każdą ciemność.

Uśmiecham się blado, choć nie wiem, czy to smutek, czy ulotne ciepło dawnych dni. Pochylam głowę i opieram czoło o dłoń, starając się uspokoić oddech. Chciałbym móc powiedzieć, że czas uleczył rany. Że znalazłem sposób, by żyć dalej. Ale to kłamstwo, w które nawet nie próbuję wierzyć.

Bo niczego nie uleczył. A ja nie znalazłem takiego sposobu. Po prostu nauczyłem się funkcjonować.

– Panie Laurent, już czas. – Głos mojego kierowcy rozbrzmiewa cicho za moimi plecami, z szacunkiem, ale i stanowczością.

Czas się pożegnać.

Zaciskam palce na krawędzi marmurowej płyty, jakbym mógł w ten sposób zatrzymać chwilę, nie pozwolić jej przeminąć. Ale to złudzenie. Wszystko przemija, niezależnie od tego, jak bardzo się opieramy.

Powoli prostuję plecy, jeszcze raz przesuwając dłonią po wyrytych w kamieniu imionach. Potem wciągam głęboko powietrze, wypełniam płuca zapachem lawendy i wilgotnej ziemi.

– Wrócę niedługo – szepczę, choć wiem, że nie ma to znaczenia.

Odwracam się i ruszam w stronę samochodu, zostawiając za sobą chłodny marmur, ciszę i wspomnienia, które nigdy nie przestaną boleć. Gumowa końcówka laski uderza cicho o kamienną ścieżkę, wyłapując każdą nierówność pod stopami, a lekki powiew wiatru delikatnie muska moją twarz.

Kiedyś nawet bym tego nie zauważył – wzrok robił wszystko za mnie. Teraz mój świat to dotyk, dźwięk, a przede wszystkim zapach. Nie widzę, jak zmieniają się chmury nad Monako, ale czuję na skórze, kiedy słońce wychodzi zza nich, ogrzewając moją twarz. Nie dostrzegam kwiatów, ale ich zapachy stały się tak intensywne, że nie mam problemów, aby je rozróżnić.

Powietrze jest gęste od wilgoci unoszącej się od morza, a w oddali słychać cichy szum fal odbijających się od nabrzeża. Gdzieś niedaleko samochód przyspiesza na krętych uliczkach Monte Carlo, a kroki przechodniów odbijają się echem od marmurowych fasad budynków. Monako nigdy nie śpi – pulsuje, oddycha, szepcze mi do ucha w sposób, którego kiedyś nie potrafiłem docenić.

Drzwi samochodu otwierają się z lekkim skrzypieniem, a ja wyciągam rękę, muskając palcami chłodny metal. Znajoma faktura, znajome kontury. Wsiadam.

– Dzisiaj tylko do firmy, a potem do domu – informuję, zapinając pas.

Silnik budzi się do życia, a delikatne drganie ciała mówi mi, że ruszamy.

– Popołudniowe spotkanie odwołane? – pyta kierowca.

– Tak, jeszcze nie poinformowałem Moniki.

Przesuwam palcami po telefonie, wyczuwając pod opuszkami gładką taflę ekranu. Kiedyś wystarczyłoby jedno spojrzenie, teraz każde działanie wymaga chwili dłużej. Odkładam urządzenie na siedzenie obok. To może poczekać.

Zamiast tego wsłuchuję się w miasto. W rytmiczny stukot mojego palca o skórzane obicie fotela, w dźwięk silnika, w echo rozmów ludzi mijających nas na ulicy. Nie widzę ich, ale znam ich świat. I choć jest inny niż ten, który znałem wcześniej, nadal muszę w nim żyć.

Do firmy dojeżdżamy w dwadzieścia minut. Kierowca zatrzymuje samochód w wyznaczonym miejscu, więc wysiadam. Czas zacząć kolejny dzień i przybrać maskę zadowolonego z życia człowieka, który ocalał. Który pomimo że stracił wzrok, dalej funkcjonuje, podejmuje decyzje, prowadzi firmę. Który nie pozwala, by inni dostrzegli, jak bardzo znany mu kiedyś świat stał się obcy.

Gdy tylko stawiam stopę na chodniku, słyszę znajomy rytm miasta – przytłumione rozmowy przechodniów, klaksony samochodów sunących wzdłuż bulwarów, szum fal odbijających się od

nabrzeża. Monako pachnie solą, gorącym asfaltem i luksusem – perfumami mijających mnie kobiet, skórzanymi wnętrzami aut, drogą kawą sączoną w pośpiechu.

Czuję, jak podeszwy moich butów spotykają się z idealnie gładką powierzchnią chodnika. Kolejny dzień, kolejne kroki, kolejne udawanie.

Proste, wyćwiczone ruchy. Wyciągam rękę, a czyjaś dłoń natychmiast mnie prowadzi. Kierowca, asystentka? Nie ma znaczenia. Przytakuję na poranne powitanie i ruszam do wejścia, przybierając wyraz twarzy, który powinien przekonać wszystkich, że nic się nie zmieniło.

Ale ja wiem, że się zmieniło.

Każdego dnia udaję, że ten nowy świat należy do mnie. Że kontroluję go tak, jak kiedyś kontrolowałem wszystko. Ale to tylko złudzenie.

Mimo to idę dalej. Bo nie mam innego wyboru.

Gdy tylko wychodzę z windy, podchodzi do mnie Monica. Nie musi się nawet odzywać. Rozpoznaję ją po stukocie szpilek i łagodnym zapachu, którego bazę stanowią nuty słodkiej wanilii madagaskarskiej, cedru, paczuli oraz drzewa kaszmirowego. Perfumy zmienia w zależności od nastroju – dzisiaj są subtelne, ledwo wyczuwalne, co oznacza, że nie chce mi się narazić.

– Spotkanie o piętnastej zostało odwołane? – Jej głos jest spokojny, ale znam ją wystarczająco dobrze, by wyczuć ukryte napięcie.

– Tak – potwierdzam, idąc przed siebie pewnym krokiem. – Nie miałem jeszcze okazji cię o tym poinformować.

– Rozumiem. Powinnam coś w zamian wpisać do kalendarza?

– Nie. Zostaw to okienko wolne.

Przez chwilę idzie obok mnie w milczeniu, zanim w końcu odzywa się ponownie:

– Dzwonił pan Marchand. Pytał, czy masz czas na krótką rozmowę.

Louis Marchand. Jeden z niewielu, którzy jeszcze traktują mnie tak samo jak przed wypadkiem. Może dlatego, że

w biznesie liczą się wyniki, a nie to, czy widzę ich miny, kiedy próbują mnie okłamać.

– Przekieruj go do mojego gabinetu za dziesięć minut.

– Oczywiście.

Monica wyczuwa, że nie mam ochoty na zbędne rozmowy. Odchodzi, pozostawiając mnie samego, a ja docieram do drzwi swojego biura. Przesuwam dłonią po ich taflach – drewno jest idealnie gładkie, a klamka, którą zaciskam twarda i zimna. Wchodzę do środka i zamykam za sobą drzwi, biorąc głęboki oddech.

Po wypadku przez trzy lata uczyłem się życia na nowo. Życia w ciemności swojego umysłu, ale również serca.

Początkowo wydawało mi się, że to niemożliwe. Że świat, który znałem, zniknął na zawsze, pozostawiając mnie w pustce, w której nie było miejsca na przyszłość. Każdy dzień był wyzwaniem. Proste czynności, które kiedyś wykonywałem automatycznie, teraz wymagały wysiłku, cierpliwości i pokory, której nigdy nie miałem.

Ale największą trudnością nie była utrata wzroku. Była nią pustka, która wypełniła moje wnętrze. Ciemność nie zaczynała się od zamkniętych powiek. Rozlewała się znacznie głębiej – w myślach, w emocjach, w sercu, które przestało czuć cokolwiek poza bólem.

Nauczyłem się chodzić bez wzroku, ale nie nauczyłem się żyć bez nich. Bez Isabelle. Bez Philippe’a.

I choć minęło pięć lat, nadal się tego nie nauczyłem.

Lata terapii, lata rozmów i przekształcania bólu w coś, co można udźwignąć. W coś, co nie dławi z każdym oddechem, nie budzi w nocy, nie odbiera chęci do życia.

Mówili, że czas leczy rany. Że w końcu nauczę się żyć bez nich.

Kłamali.

Czas nie leczy niczego. Co najwyżej pozwala przywyknąć. Przyzwyczaić się do pustki, do braku, do tej wszechogarniającej ciszy po kimś, kogo już nie ma.

Ostatni rok był nieco inny. Po wycofaniu się ze świata, który kiedyś tak bardzo kochałem, postanowiłem wrócić. Do zapachów, do firmy, do życia.

Nie był to spektakularny powrót. Nie pojawiłem się nagle na przyjęciach, nie zacząłem udzielać się towarzysko. Wróciłem w ciszy, krok po kroku, ucząc się na nowo rzeczy, które kiedyś były dla mnie oczywiste.

Zacząłem od prostych przyjemności – porannej kawy w moim ulubionym miejscu, mimo że nie mogłem już podziwiać widoku portu. Od spacerów po znajomych ulicach Monte Carlo i wsłuchiwania się w dźwięki miasta, które nigdy nie spało. Po powrót do firmy, choć teraz inaczej musiałem zarządzać ludźmi i decyzjami.

Nie było to łatwe. Nic nie było łatwe. Ale było konieczne. Bo choć nie widziałem, życie nadal tam było. Czekало na mnie, nawet jeśli przez te lata udawałem, że go nie potrzebuję.

Dźwięk telefonu stacjonarnego wyrывa mnie z zamyślenia. Natarczywie rozchodzi się po gabinecie, zmuszając mnie do powrotu do rzeczywistości.

Przesuwam dłonią po blacie biurka, odnajdując słuchawkę. Wciskam przycisk i unoszę ją do ucha.

– Laurent.

– Dzwoni Marchand. Mam przekierować rozmowę? – Głos Moniki jest jak zawsze profesjonalny, bez zbędnych emocji.

– Tak.

Chwila ciszy, potem kliknięcie, a zaraz po nim niski, pewny siebie głos mężczyzny po drugiej stronie.

– Charles, mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Nie tracisz czasu na zbędne pytania, więc zakładam, że sprawa jest ważna – odpowiadam spokojnie.

Słyszę jego cichy śmiech.

– Jak zawsze trafnie. Porozmawiajmy o nadchodzących targach w Paryżu. Czas ucieka, a ja czekam, aż się zdecydujesz.

– Louis, wiesz dobrze, że miałem kilka lat przerwy...

– Wiem, że znajdziesz coś specjalnego – przerywa mi, a w jego głosie pobrzmiewa pewność siebie. – Zawsze to robiłeś.

Opieram się wygodniej w fotelu, przesuwając palcami po drewnianym blacie biurka. Kiedyś targi były dla mnie wydarzeniem roku. Czasem pełnym inspiracji, miejscem spotkań i rozmów, które prowadziły do wielkich rzeczy. Teraz... teraz wydają się jedynie cieniem tamtych dni.

– Nie jestem pewien, czy to dobry moment – mówię w końcu.

– A kiedy będzie? – Louis nie daje się zbyć. – Słuchaj, Charles. Nie zamierzam cię przekonywać. Chcesz wrócić do gry czy nie?

Zaciskam palce na słuchawce. Właśnie tego nienawidzę – momentów, w których muszę podejmować decyzje, na które nie jestem gotowy. No właśnie, tylko czy kiedykolwiek będę?

– Daj mi parę dni – mówię cicho.

– Parę dni? – Louis parska śmiechem. – Masz czas do jutra do południa. I nie próbuj mnie wystawiać, Laurent.

Po drugiej stronie słychać ciche kliknięcie, co oznacza, że rozmowa została zakończona.

Opieram głowę o zagłówek fotela i wypuszczam powietrze.

Targi w Paryżu. Miejsce pełne światła, zapachów, rozmów przecaczających się przez przestronne hale. Dawniej przechadzałem się tam swobodnie, witając znajomych, podziwiając nowe projekty, oceniając detale. Teraz wszystko wygląda inaczej.

Ludzi nie widzę, ale ich pamiętam. Głosy, akcenty, tonacje – potrafię je rozpoznać. Uścisk dłoni, zapachy perfum, które zdradzają więcej niż same słowa. Kiedyś odbierałem świat oczami. Teraz uczę się go, wykorzystując zmysły, które dotąd były jedynie tłem.

Czy to rzeczywiście dobry moment na powrót? Czy powinienem ponownie stanąć wśród tych, którzy będą oceniać mnie spojrzeniami pełnymi litości lub fałszywego podziwu?

A może to tylko moje własne lęki, podszyte tęsknotą za czymś, czego nigdy już nie odzyskam? Bo czy można wrócić do świata,

którego się już nie widzi? Czy to wciąż ten sam świat? Czy ja wciąż
jestem tym samym człowiekiem?

Rozdział 2

Siedzę w gabinecie doktora Antoine Lefevre, starając się uspokoić galopujące serce. W pokoju panuje cisza przerywana jedynie odgłosami naszych oddechów oraz tykaniem zegara, które teraz słyszę aż nazbyt. Zaciskam palce na skórzanym obiciu fotela, co wywołuje nieprzyjemne tarcie.

Zapachy, które mnie tutaj otaczają, w ogóle ze sobą nie współgrają, a to potęguje moje uczucie niepokoju. Ostry zapach tytoniu, który drażni nozdrza, miesza się z ciepłą, lekko gorzką wonią kawy, która pewnie stoi na biurku doktora. Do tego nuta czegoś słodkiego – może perfumy poprzedniej pacjentki albo cukierki? Każdy z tych zapachów walczy o uwagę, zamiast stworzyć harmonijną całość.

Cisza między nami ciąży mi na ramionach i chociaż wiem, że spotkanie zostało zainicjowane z mojej strony, nie potrafię się odezwać. Słyszę szelest papierów, cichy stukot długopisu o blat biurka, jego westchnięcie. Nie widzę jego wyrazu twarzy, ale mogę sobie wyobrazić, jak lekko marszczy brwi, a jego spojrzenie analizuje każdy mój ruch.

– Wiesz, że możemy tutaj siedzieć aż do nocy? – odzywa się wreszcie, a jego głos jest spokojny, ciepły, jakbyśmy rozmawiali o czymś zupełnie błahym. – Chciałbym jednak wrócić do domu na kolację. Dzisiaj przyjeżdżają wnuki.

Słyszę, jak przesuwają się na fotelu, jak materiał jego marynarki delikatnie szeleści przy tym ruchu. Wyczułem wcześniej zapach jego wody kolońskiej – subtelnej, korzennej, z nutą cytrusów. Kojarzył mi się z bezpieczeństwem, z kimś, kto od lat towarzyszy mi w tej drodze.

Biorę głębszy oddech.

– Za trzy miesiące odbywają się targi perfum w Paryżu – mówię, wypuszczając powietrze wolniej, niż zamierzałem. Moje dłonie są wilgotne, więc ocieram je o spodnie, choć wiem, że to niczego nie zmieni. Po chwili znów je splatam, jakbym w tym uścisku szukał stabilności.

– Martwi cię to?

– Tak – wyrzucam jak z procy, może zbyt szybko. Po chwili waham się i dodaję ciszej: – Nie... sam nie wiem.

Przez chwilę panuje cisza, ale nie jest ona niezręczna. To ten rodzaj milczenia, który daje przestrzeń do myślenia.

– Od śmierci Isabelle nie bierzesz w nich udziału – mówi w końcu. Jego głos jest łagodny, pozbawiony osądu. – Tym razem coś się zmieniło?

Otwieram usta, ale słowa więzną mi w gardle. Jak mam to wyjaśnić, skoro sam do końca tego nie rozumiem?

– Zastanawiam się... – urywam i kręcę głową. – To głupie.

– Charles, ile razy to już przerabialiśmy? – Jego ton staje się bardziej stanowczy, ale wciąż pozostaje ciepły. – Ile razy zapewniałem, że nic, co powiesz, nie jest ani głupie, ani bez sensu? Jestem tutaj dla ciebie.

Przełykam ślinę. Jestem wdzięczny za te słowa, choć trudno mi w nie uwierzyć.

– Zastanawiam się nad powrotem – przyznaję cicho. – Boję się jednak, że to już nie dla mnie.

Moje palce zaciskają się na podłokietniku fotela. Wiem, że jeśli zdecyduję się tam pojechać, nic nie będzie wyglądało tak samo. Nie zobaczę blasku kryształowych żyrandoli w hotelowych salach, nie obejrzę nowych flakonów perfum ani nie uchwyćę subtelnych zmian w designie stoisk. Będę musiał mierzyć się z ludźmi, z ich spojrzeniami, których nie dostrzegę, ale które poczuję na sobie – oceniające, pełne litości lub uprzejmego dystansu.

– Nie podejmę za ciebie decyzji. – Słyszę spokojny, ale stanowczy głos. – Jeżeli po to przyszedłeś, rozczaruję cię.

Uśmiecham się pod nosem, choć to bardziej cień uśmiechu niż rzeczywista reakcja. Nie spodziewałem się innej odpowiedzi.

– Nie o to chodzi... – zaczynam, ale urywam, bo nie jestem pewien, jak dokończyć.

Chodzi o co? O pewność, że podejmuję słuszną decyzję? O gwarancję, że nie popełniam błędu, próbując wrócić do świata, którego już nie widzę?

– Czego się boisz? – pyta po chwili.

Boję się wielu rzeczy. Boję się, że będę tylko cieniem dawnego siebie. Że wszyscy będą mnie pamiętać jako Charles’a Laurenta, człowieka, który widział, a teraz jest tym, który nie widzi. Że moje miejsce zostało zajęte, a ja wrócę tam tylko po to, by zrozumieć, że już do niczego nie pasuję.

Ale jest coś jeszcze. Coś, czego nawet przed samym sobą nie chcę przyznać.

Boję się, że jeśli wrócę do tego życia, jeśli znów dam się pochłonać pracy, ludziom, zapachom, to Isabelle i Philippe staną się jedynie wspomnieniem. Że zamiast czuć ich obecność w każdej myśli, zacznę o nich zapominać.

Boję się, że pewnego dnia obudzę się i odkryję, że głos Isabelle nie brzmi już w mojej głowie tak wyraźnie. Że nie pamiętam, jak śmiała się o poranku, ani jak czułem się, gdy była obok, a jej palce subtelnie czesały moje włosy.

– Boję się, że będę żałował... Niezależnie od tego, jaką decyzję podejmę – przyznaję w końcu szeptem.

Do domu wracam zmęczony, jakbym przebiegł dwudziestokilometrowy maraton i to z dodatkowym obciążeniem. Każdy krok wydaje się cięższy od poprzedniego, jakbym niósł na barkach nie tylko własne ciało, ale też wszystkie myśli, które od rana nie dają mi spokoju.

Gdy przekraczam próg, uderza mnie zapach obiadu. A może już raczej kolacji? I to później. Duszone warzywa, czosnek, coś pieczonego – być może kurczak. Mary zawsze dba o to, żebym miał ciepły posiłek, choć nieraz mówiłem jej, że nie musi się tym przejmować. Zazwyczaj zbywa mnie krótkim „bzdura” i stawia przede mną talerz, jakby to zamykało temat.

Żołądek mam ściśnięty z nerwów, ale wyrzuty sumienia sprawiają, że mimo wszystko kieruję się do kuchni. Przez lata uczyłem się tego domu na pamięć – każdej ściany, każdego kąta, rozstawienia mebli. W teorii mógłbym poruszać się tu bez namysłu, ale mimo to posługuję się laską. Dla pewności. Nigdy nie wiadomo, czy coś nowego nie pojawiło się na mojej drodze.

Nie zliczę, ile razy ładowałem na kolanach, bo Mary zapomniała zabrać czegoś z pola chodzenia. Raz było to pudełko z butami, innym razem wiklinowy kosz na pranie, a kiedyś nawet stojak na parasole, który, jak przysięgała, miał „idealne” miejsce w korytarzu.

Zwalniam kroku, gdy czubek laski natrafia na próg kuchni.

– Wróciłeś w końcu – odzywa się Mary, a w jej głosie pobrzmiwa nuta łagodnej nagany. – Kolacja już dawno gotowa.

– Mówiłem ci, że nie musisz na mnie czekać – odpowiadam, ale wiem, że to na nic.

– A ja mówiłam, że to mój dom, tak samo jak twój, i będę robić, co uważam za słuszne – kwituje, jak zawsze nieustępliwa.

Nie potrafię się nie uśmiechnąć. To kolejny stały punkt mojego dnia. Coś znajomego, co choć na chwilę przywraca mi poczucie normalności.

Wzdycham cicho, zdejmując marynarkę, i przewieszam ją przez oparcie krzesła.

– Co dzisiaj przygotowałaś? – pytam, wyciągając rękę do przodu, aż natrafiam na drewniany blat.

– Twoje ulubione danie – odpowiada, a po chwili słyszę dźwięk talerza stawianego przede mną. – Duszona cielęcina z rozmarynem i pieczone ziemniaki. I sałatka, bo... – urywa na moment,

a ja niemal słyszę, jak przewraca oczami. – Nie samym mięsem człowiek żyje.

Uśmiecham się, bo znam tę śpiewkę na pamięć.

– W takim razie obiecuję, że zjem wszystko – mówię pojednawczo i sięgam po widelec.

Przez chwilę panuje między nami cisza, przerywana jedynie odgłosem sztućców i cichym brzękiem szkła. Jem powoli, a w międzyczasie skupiam się na zapachach i teksturach. Mięso jest kruche, doprawione w sam raz, ziemniaki lekko chrupią na brzegach, a sałatka jest chłodna i soczysta. Pewnie dopiero co została przygotowana.

Mary siada naprzeciwko mnie, prawdopodobnie z filiżanką herbaty, bo czuję w powietrzu zapach mięty i cytryny.

– Coś się stało? – pyta w końcu. – Jesteś spięty.

Zawieszam widelec w powietrzu. Nie widzę jej twarzy, ale dałbym sobie rękę uciąć, że patrzy na mnie zatroskana. Wzdycham, odkładając sztućce.

– Dzisiaj... – zaczynam, ale nagle czuję, jak słowa grzęzną mi w gardle.

Jak mam jej to powiedzieć? Że zastanawiam się nad powrotem do świata, który kiedyś kochałem, ale teraz wydaje mi się obcy? Że boję się, że wracając do dawnego życia, zostawię Isabelle i Philippe'a za sobą?

– Louis dzwonił – mówię w końcu. – Chce, żebym pojechał na targi perfum w Paryżu.

Mary milczy. Słyszę, jak wierci się na krześle, jak upija łyk herbaty i odstawia kubek na blat.

– I co mu powiedziałeś? – pyta po chwili.

– Że się zastanowię.

Oczami wyobraźni widzę, jak opiera łokcie na stole i zaplata dłonie ze sobą.

– A czego tak naprawdę chcesz, Charles?

To pytanie wydaje się proste, ale w rzeczywistości takie nie jest. Czego chcę? Chcę wrócić do świata, który kiedyś znałem, ale nie wiem, czy jestem na to gotowy. Chcę znów poczuć ekscytację, adrenalinę, ale jednocześnie boję się, że to mnie pochłonie. Chcę ruszyć do przodu, ale nie wiem, czy potrafię. Czy mogę.

– Gdybym wiedział, byłoby mi łatwiej – przyznaję, przecierając twarz dłonią.

– Myślę, że dobrze wiesz, czego chcesz, ale blokuje cię strach. – Jej ciepła, miękka dłoń łąduje na mojej. Ten niespodziewany dotyk sprawia, że lekko podskakuję.

– Nie bój się, Charles. – Gładzi mnie delikatnie, po czym zabiera dłoń. – Nie bój się, bo przyjdzie taki dzień, w którym obudzisz się i będziesz żałował, że nie zaryzykowałeś. Wtedy będzie już za późno. Teraz jesteś jeszcze młody...

– Mam czterdzieści lat, Mary – przerywam jej. – A czasem się czuję, jakbym miał osiemdziesiąt i przegrał swoje życie.

Mary milknie na chwilę, a ja wyczuwam, że jej spojrzenie przeszły mnie na wskroś. Wiem, że chciałaby mnie skarcić, zawsze to robi, gdy według niej mówię głupstwa. O dziwo zdarza się to częściej, niż bym przypuszczał.

– Czterdzieści lat to nie koniec świata, Charles – mówi w końcu spokojnym, ale stanowczym tonem. – Masz jeszcze mnóstwo czasu, by coś zmienić.

Kręcę głową, opierając łokcie na stole.

– Czasami wydaje mi się, że to wszystko już mnie ominęło. To życie, które mogłem mieć. – Przesuwam dłonią po drewnianym blacie, jakbym szukał w nim jakiejś odpowiedzi. – Straciłem Isabelle. Straciłem syna. Straciłem wzrok. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

– Możesz żyć – odpowiada cicho, ale jej głos nie traci pewności. Zaciskam usta, z których chce się wyrwać parsknięcie.

Żyć.

Słowo tak proste, a jednocześnie tak trudne. Jak mam żyć, kiedy wciąż czuję, że połowa mnie została pogrzebana razem z nimi?

– To nie jest takie proste, Mary – mówię w końcu.

– Nikt nie mówi, że będzie. – Słyszę, jak odsuwa krzesło, wstaje i podchodzi bliżej. – Ale jeśli nie spróbujesz, nigdy się nie dowiesz.

Przez chwilę czuję jej dłoń na moim ramieniu. Nie mówi nic więcej, nie naciska. Po prostu tam jest. A ja siedzę w ciszy, mierząc się z myślami, które wciąż walczą w mojej głowie.